Nr. 21 We Lwowie, 1 listopada 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

3-go listopada 1929 r. (Niedziela) w dzień św. Huberta, odbędzie się o godzinie 9·30 rano msza święta przed ołtarzem Jego czci poświęconym w kościele św. Elżbiety.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Z teki starego leśnika

(Dokończenie)

Jednym z najszkodliwszych tępicieli ryb, prócz wydry, uważam naszą szarą czaplę i wodnego bąka. Jakże często miałem możność, ukryty w gęstych trzcinach i chaszczach, przypatrzeć się niszczycielskiej robocie tego długonogiego ptaka szkodliwego. Od godziny siedzę w czółenku na spieku słońca w ustronnym zakątku jeziora, śledząc ruch każdy wokoło. Ciszę przerywa niekiedy wrzask zapadającej pary krzyżówek, trześniak od czasu do czasu wyśpiewa swe „boli boli cierp cierp cierp", niekiedy wiatr wpadnie w gęste oczerety — zaszumi zeschłemi ich liśćmi, zafaluje ich ciemnemi kiściami, przeleci nad lustrem wody, na chwilę pomarszczy jej gładką powierzchnię i znów długo milcząca cisza.

Gdzieś daleko z łąk ochrypły głos czapli dochodzi, jeszcze chwil kilka i całe ich stado w leniwym locie zapada przedemną na płytkiej wodzie. Jak szare nieruchome słupki, w miarowych od siebie odstępach stoją po kolana w wodzie i wysoko wyciągniętą szyją i oczami pilnie śledzą powierzchnię wody. Błyskawiczny naraz ruch szyi najbliżej mnie stojącej, uderzenie dziobem w wodę, cios niechybiony, wlot uchwycona ryba podniesiona w górę, zręcznym ruchem dzioba zwrócona łbem do gardła, przechodzi przez długi przełyk do głodnego żołądka. Ruch rabusia elektryzuje resztę towarzystwa, chwilowe poruszenie zazdrosnej kompanji, poczem wszystko powraca do porządku i spokoju.

Słuch i wzrok czapli jest silnie rozwinięty i zdaje się, zdolny grożące jej niebezpieczeństwo przez krzewy i gęste przewidzieć zarośla. W czasie jesiennych połowów ryb na naszych stawach, zauważyłem niejednokrotnie masy czapel zlatujących się na opuszczone przez rybaków miejsca oczyszczania niewodów. Odkryta jednak miejscowość nie nadawała się do ich podejścia i już za zbliżeniem się na 500—600 kroków odlatywały pospiesznie. Użyłem więc podstępu, który mi się udał całkowicie. O wczesnej porze dnia następnego, udałem się łodzią do przyległego jeziora, strzelcowi poleciwszy zajść zebraną nad wczorajszą tonią gromadzie czapel z przeciwnej strony i o ile możebnem się okaże, skierować ich lot w mą stronę.

Posłany wykonał zlecenie doskonale. W kilka minut po danym przez strzelca sygnale, ciężki lot nisko nad oczeretami ciągnącego stada dał mi się wyraźnie słyszeć i nie-

bawem, jak gromada kozaków zgarbionych, z wysuniętemi do ataku pikami, ławą tuż nad wysokiemi trzcinami okazała sie przedemną. Miałem 16-tkę w ręku, a zapasową Tesznarkę trzymał rybak w pogotowiu. Bom, bom, głośne rozdarło ciszę, dwa najbliższe egzemplarze padając, zaszeleściły w trzcinach. Stado zmieszało się, a zanim zdążyło wzbić się w górę. Tesznerka podwójnym zagrzmiała basem i dwa ptasie ciała uderzyły o powierzchnię wody. Przestrach ptaków objawił się w nagłem rozstroju ich żołądków, długie sznury białego kału, posypały się na nasze głowy, na łódź i sitowie. Ta nauka nie poszła w las, powtórzony manewr nie udał mi się więcej, ptaki zapamiętały zdradliwą zasadzkę i już nigdy nie dały w nią się wciągnąć.

Nie wiem, czy nie w mniejszej mierze jest dla hodowli szkodliwy bąk wodny. O ile lot tego ptaka jest ciężki i nie zgrabny a sam on mało jest ostrożny i dopuszcza nierazna zbyt bliski dystans, o tyle okazuje on zwinność w zręcznym biegu w gęstwinie oczeretów i chytrości w unikaniu pościgu za sobą. Basowe buczenie jego wieczorne i nocne w pustynnych łęgach i oczeretowych kniejach robi na nowicjuszu myśliwym pewne ujemne wrażenie, a w tchórzliwych pewien lęk wzbudza swym podziemnym głosem. Od dawna prowadziłem spór z inspektorem rybołostwa p. R. o szkodliwości tego ptaka, a upolowawszy dziś trzy ich sztuki, odkryłem ich żołądki i co się okazało? W jednym znalazłem nieprzetrawione jeszcze zupełnie pięć karpi małych — w innym obfitości już przetrawionego pokarmu z żyjątek wodnych i maleńkich rybek, w trzecim zaś jak widać po dopiero co sutem śniadaniu zupełnie jeszcze całych kilka rybek wielkości dużego palca. Ponieważ organy trawienia u czaplowatych funkcjonują szybko i ptak ten nie lubi głodu, możemy mieć pojęcie, ile ten niewielki rabuś wyrządza szkód w naszem rybołostwie w ciągu 5-cio miesięcznego u nas przebywania letniskowego.

Zapewne łaskawy czytelnik ma już dość wydry, czapli i bąka, nie będę więc już go nudził tą masą innych wodnych i błotnych szkodników, jaka jeszcze pozostała, a przeniosę go myślą do ulubionej leśnej kniei, w której sam tak chętnie zawsze przebywam i chcę z nim podzielić się memi wrażeniami tam odniesionemi.. Jako głównego i największego szkodnika w naszych lasach uważałem chytrego lisa, jemu też od lat najmłodszych wypowiedziałem skrytą i otwartą wojnę, to też po kilkunastu latach zaciętej z nim walki, lis w lasach pod moim zarządem będących, spotykany był rzadko, a upolowanie go na dorocznych obławach należało do rzadkich i fenomenalnych. Tępiłem go wszelkiemi możliwemi środkami, lecz najwięcej przypadł mi do gustu stary ojca mego system, czatów z wysoko urządzonej na właściwem miejscu „ambony“. W jednym z ustronnych zakątków obszernych lasów odkryłem czysto obronną lisią twierdzę, ukrytą na znacznym pagórku około hektara obszaru. Kilkanaście ziemnych obowodów, znakomicie krzewami zamaskowanych, prowadziło do jej wnętrza. Labirynt podziemnych uliczek w różnych krzyżował się kierunkach i składał się z dwóch a nawet trzech piąter podziemnych. Znaleść lub wykurzyć stamtąd chytrego lisa było niepodobnem, polowanie z foksem nietylko nie powiodło mi się, ale nawet straciłem najulubieńszego mego psa, chytrze przez lisa zagrzebanego w tym labiryncie podziemnym. W najdogodniejszem więc miejscu, z widokiem na główne, jak sądziłem, wejście i wyjście do nor, postawiłem mą obserwacyjną ambonę wysoko nad ziemią i od czasu do czasu przesiadywałem w niej całe wieczory i ranki. Ileż to wesołych tam scen z życia tych zwierząt widziałem, szczególniej w czasie wiosennych ich zalotów. Już w początku lutego zauważyć się dawał jakiś niepokój w życiu tych leśnych rabusiów na piasku około nor. Spotykałem coraz liczniejsze ślady lisich tropów, zdrapany piasek lub zdeptany śnieg licznemi nóżkami zwierząt. Już dłuższy czas siedziałem w mym wysokim koszu-ambonie w oczekiwaniu na zwierza. Słońce już dawno wyniosło się ponad leśne konary i ciekawie zaglądało do głębi kniei, gdy lekkim truchcikiem spostrzegłem biegnącą ku norom lisicę, a tuż za jej ogonem dwóch czerwonych amantów. Przed wejściem do nory między rywalami zaszła jakaś sprzeczka, podnieśli się raptownie na tylne łapki, przedniemi drapiąc się i bijąc, słabszy wreszcie pokonany ustąpić musiał, silniejszy poprowadził patrzącą dotąd spokojnie na walkę amantów samicę ku norom. Wstrzymał ich jednak mój strzał raptowny przed wejściem do nory. Samica legła trupem, ranny kawaler zdołał ukryć się w dziurze — niefortunny zaś drużba i świadek wesela uszedł cało. Wiosną 1890 r. miałem wiele zajęcia w lasach i często późną już porą wracałem do domu. Otóż w jeden z pięknych dni marcowych, wracając z lasu, przechodziłem około owej forteczki lisiej, a nie dochodząc do niej na kilkadziesiąt kroków, zauważyłem na łysinie bezleśnej kilka lisów razem się bawiących czy też goniących za sobą. Księżyc stał wysoko nad lasem, srebrzystem jasnem światłem zalewając okolicę. Na białym śniegu jak w dzień widać było bawiące się zwierzęta. Ukryty doskonale za drzewem, długo lubowałem się igrzyskami zwierząt, wydających od czasu do czasu głosy jakby warkotu, skowytu, czy też gryzienia się. Mam ich czworo — przybliżają się w mą stronę ku norom pagórka. Pierwsza idzie widocznie samica — wymachując podniesioną w górę puszystą kitą, jak wachlarzem wabiąca kawalerów kokotka, za nią tuż z nosem przy jej ogonie pierwszy drużba selny, stary samiec, pochód zamykają dwaj na uboczu trzymający się z respektu nieśmiali kawalerowie. Stara kokieta idzie wolno, przystaje często, wymachuje kitą, jakby nią przyzywała nieśmiałków i czekała na ich zbliżenie. Niepokoi to zazdrosnego drużbę, zwinnym ruchem wzraca się do rywali, wyszczerza ostre kły na jednego, drugiego utnie boleśnie i spiesznie powraca do suki, odpędziwszy natrętnych amantów. Są już blisko głównego wejścia do nory — suka z wzniesionym wysoko nosem coś wietrzy, jakby mą obecność spostrzegła, samiec korzysta z chwili, suka nie broni się. Miłosnemu aktowi przyglądają się ciekawie niefortunni rywale, po-

przekręcali łebki na boki i śledzą ruch każdy zaślepionej amorami pary, wreszcie śmielszy zbliżył się na kilka kroków, wypróżnił się dla ulżenia swemu strapieniu, co widząc drugi, poszedł za jego śladem, obwąchał, a nie mogąc widać zdobyć się na coś więcej, podniósł tylną nogę na krótko i poszedł dalej. Byłem zdumiony podobną impertynencją i zachowaniem się zwierząt. W tym czasie związana z sobą para zbliżała się ku norze — suka z cichym skowytem ciągnęła psa za sobą. Była już największa pora strzału — miałem pannę młodą i kawalera na celu. Huk strzału rozdarł ciszę leśną i zamarł niebawem w mroźnem powietrzu. Trafiona celnie lisica legła bez życia, pies jak z procy wyrzucony w górę rzucił się do ucieczki, posłałem mu drugi nabój, po którym skrył mi się za drzewa — reszta gości weselnych również zniknęła mi z widowni. Nazajutrz znalazłem mego postrzałka o kilkadziesiąt kroków od miejsca, gdzie go strzelałem, zesztywniałego od mrozu. Plac przed norami wokoło był zdeptany i z śniegiem zmięszany, jak przed wiejską chatą w karnawałowym czasie. Długo miałem przed oczyma te sceny dziwnego zachowania się zwierząt i nikt z zielonej braci nie umiał mi tego wytłumaczyć. W 1894 r. w dzień wigilijny miałem niezwykłe z lisem spotkanie. O wieczornej porze, po świeżej ponowie i mroźnem powietrzu wyszedłem do pobliskiej kniei, dwudziestoletnich zagajeń. Przechodząc przez poletko między oddzielnemi kwaterami, zabiłem zająca, który o 30 kroków leżał odemnie w czasie mego chwilowego odpoczynku. W piętnaście minut po mym strzale nadbiegł śladem zabitego kota piękny lis z nosem przy ziemi, wietrzący świeże tropy. Z napiętą ciekawością przyglądałem się chytremu zwierzęciu, zbliżającemu się do ciepłego jeszcze zająca i jak byłem niepomiernie zdziwiony tem, com widział! Lis na widok zająca na sekundę zatrzymał się w biegu, poczem jednym raptownym skokiem był przy nim, lecz jeszcze prędzej odskoczył, poczem ostrożnie obszedł go do koła, obwąchał i jak podminowany dał w bok susa i zaczął uciekać z podniesioną kitą, podnosząc za sobą tumany pyłu śnieżnego, uniemożliwiając mi wzięcie go na cel. Palnąłem naturalnie za rabusiem, lecz w odpowiedzi na mój strzał, kiwnął mi tylko w górę podniesioną kitą, jakby na pożegnanie „bywaj zdrów fuszerze!“.

W odległych, głuchych rewirach nad granicą śląską rządowych lasów położonych, przechodziły niekiedy rysie, jak ślady i wyrządzone świadczyły szkody w zwierzostanie przez tych złoczyńców wyrządzone. Wszelkie ze strony leśnej straży czynione zasadzki nie osiągały celu — rabuś mordował sarny, płoszył jelenie, a dostać go niepodobne było, aż raz poszczęściło mi się spotkać z nim oko w oko. Odbywałem perjodyczne inspekcje lasów i przejeżdżając przez rewiry 20 i 21 natrafiłem na świeżo zamordowaną sarnę, której szkodliwy rabuś zaledwie zdążył przegryźć już szyję i wyrwać kawał krtani. Mord musiał popełnić przed chwilą, prawdopodobnie turkot mego wózka go spłoszył i zapewne nie uszedł jeszcze daleko, znaleść go więc postanowiłem. Posłałem furmana po me ogary a sam w gęstwinie się zakryłem do ich przybycia. Martwa cisza w całym lesie — nawet dzięcioł nie zastukał w suchy sęk drzewa, sojka nie wrzasnęła. Po długiem oczekiwaniu, ciszę przerwał wrzask sojki, po chwili inna się odezwała, a za chwilę cała kumoszek leśnych gromada podniosła tak wrzaskliwe larum, że to moją zwróciło uwagę. Wytężyłem więc wzrok w ich stronę, lecz nie mogłem przez gęstwę liści nic dojrzeć. Uzbroiłem się więc w cierpliwość i czekałem pojawienia się woźnicy z psami. Po chwili długiej słaby turkot wózka doleciał mnie z oddali i za chwilę mój Bom i Bim był przy mnie. Psy obwąchały trupa — kilka kręgów zatoczyły po mchu i paproci i z wyciem z początku słabem, a coraz w głośniejsze tony przechodzącem, poniosły się w stronę skrzeczących ptaków. Zaledwie zdażam ze strzelcem za niemi. Raptownie ucięły. Chwilowa przerwa i tylko skrzek sojek dalej się odzywa. Znów poczciwe psiska głoszą, miła ich muzyka rozbrzmiewa echem po kniei — znów cisza chwilowa, znów wrzawa. Lecz głosy z jednego teraz wychodzą miejsca i jakieś niezwykłe. Musiały dopaść zwierza i z nim się borykają — słychać ich skowyt. Dobiegamy ze strzelcem wreszcie, lecz w gęstwie liści nic dojrzeć nie mogę, psy kręcą i wspinają się na pień rosochatego dębu, widać tam zwierza zwęszyły, czy go zapędziły. Po długiem okrążeniu drzewa, wytężeniu wzroku, dojrzałem wreszcie w rozwidleniu konarów, przy grubym pniu jego, dwie chorągiewki uszów zwierzęcia i zielone, błyszczące jego ślepia. Cel niedogodny — wątpliwy niemal — lecz lepszego oczekiwać było wątpliwem — więc posyłam mu między oczy nabój grubego śrutu. Cętkowana masa mignęła mi w oczach, przeleciała tuż nad mą głową i padła między psy. Kocie parskanie i skowyt psów — chwilowa, lecz straszna walka — ciężko ranne w łeb i kark zwierzę miało jeszcze dość siły Bomowi wyrwać kawał uda zębami, a Bima podrapać szkodliwie po mordeczce i karku. Byłto stary samiec o przetartych kłach, lecz ostrych pazurach, jedyny jakiego zabiłem.



STANISŁAW BARABASZ

Z przeżyć myśliwskich

W Wierzchosławicach w sierpniu 1908 r. po bezowocnem brodzeniu za kaczkami na stawie, mój towarzysz p. Drapella ubierał się, ja zaś przypatrywałem się pływającym opodal małym nurkom. Widząc, że dwa zdążają ku sobie, zawołałem p. D. aby uważał na te nurki, gdy się skrzyżują. Złożyłem się z trzylufka i ciągnąłem muszką za jednym nurkiem, a gdy się skrzyżował z drugim, strzeliłem. Strzał był szczęśliwy, gdyż oba nurki zostały przeszyte jedną kulą. Pan D. przyniósł mi je i obliczył w wodzie 90 kroków odległości.

Polując na Orawie, buszowałem po zrębach w reglach. Leśny wypatrzył bijące się dwie sarny. Odległość była przeszło dwieście kroków, bliżej podchodzić było ryzykownem, gdyż miejsce było odkryte i mrok już zapadał. Chciałem przez lornetkę wypatrzeć, który z nich ma silniejsze parostki, aby do tego strzelać, lecz pomimo dobrego szkła, żadnych rożków wypatrzeć nie mogłem. Na moją z tego powodu uwagę, leśny zaklina się, że to rogacze, przecież się bodzą. Tak było rzeczywiście. Jeden stał wyżej, drugi jaśniejszy niżej i zaczepiał tamtego bodząc, poczem tarł czołem o ziemię. Zatem decyduję się strzelać do niżej stojącego rogacza.

Ponieważ mój trzylufek kal. 8 mm był zregulowany na 50 kroków, mierzę więc w grzbiet nad łopatkę, licząc na obniżenie kuli. Po strzale rogacze odskoczyły od siebie, a po chwili strzelany zaczął znowu atakować. Strzelam raz drugi, skutek taki sam, po trzecim strzale rogacz powoli zeszedł w dół i zniknął z oczu. Leśny poszedł na miejsce, znalazł go i przyniósł. Wszystkie trzy kule trafiły nisko w pachwinę tak, że o parę centimetrów niżej byłyby zupełnie chybiły. Rożki miał dziwne, bo tuż przy różach widełki jakby dwa półksiężyce. Rano poszedłem drugiego zobaczyć, pasł się w tem samem miejscu. Dojrzałem bardzo niskie cieniutkie rożki, ciemne o ledwo zaznaczonem rozwidleniu, i dlatego wieczorem nawet przez szkła u obydwóch rogaczy widzieć ich nie mogłem.

Poszedłem z p. S. w regle, aby go zaprowadzić na rogacza, którego mu pozwolono odstrzelić. Na Krokwi wyszedł na niego rogacz, do którego strzelił z karabinka Peterlonga kal. 9,3 mm czarnym prochem, i kulą ołowianą ściętą. Rogacz padł z dymem i zaczął się sunąć leżąc na grzbiecie na dół.

Stałem dość daleko, szedłem tedy do p. S. aby mu pogratulować strzału, nie patrząc na rogacza. Po chwili widzę, że rogacz stoi, wygiął grzbiet w kabłąk, wołam na p. S. aby strzelał. Rogacz tymczasem zaczął iść powoli, potem coraz prędzej i zanim myśliwy nabił i strzelił, rogacz był już w gąszczu i przepadł.

Rogacza tego widziałem później chodzącego, lecz marnie wyglądającego. — Był to prawdopodobnie strzał w pustkę.

W roku 1905 wracając z Szerokiego żlebu grubym lasem, na Wierch Porońcu ruszyłem dzika, który fuknął i począł galopkiem wgórę umykać.

Strzeliłem, dzik momentalnie skozłował w tył i zaczął się rzucać w wielkich susach i sunąć w dół lasu. Widziałem, że tył miał bezwładny. Bojąc się, aby mi nie znikł w gąszczu, rychło dobiegłem i dobiłem go.

Po otwarciu dzika pokazało się, że kula 8 mm płaszczowa z końcem ołowianym, kal. 8 mm, przeszła wysoko pod samym grzbietem, nie naruszyła kręgów ani ich mięśni, sparaliżowała jednak chwilowo cały tył dzika, który byłby z pewnością opamiętał się i uciekł, gdybym go był zaraz nie dobił.

W Toporzyskach polowano na śniegu na dziki. W miocie „na Bani" wyszedł na leśniczego D. na kilka kroków ogromny odyniec. Szedł powoli, leśniczy słyszał go zdala, był przygotowany do strzału i strzelił spokojnie na komorę, kulą Brenekego z gładkiej dubeltówki. Odyniec po strzale zwalił się natychmiast na bok przeciwległy od strzału, przestrzelony był na wylot, leżał, ślepia miał przysłonięte, tylko wyrzucał silnie rapetami.

Myśliwi się zeszli, oglądali go i rozmawiając zapalili papierosy. W tem dzik naraz zerwał się i skoczył w las, tak nagle, że zaledwo jeden z myśliwych zdążył zerwać strzelbę i strzelić, chybił, a kula ucięła tylko trochę piór. Dzik przepadł, tylko na miejscu gdzie leżał, pozostało dużo farby. Leśniczy poszedł za tropem, odyniec farbował z obu stron, jednak nie zalegał. Przeszedł do sąsiedniego rewiru Wysokiej.

Na czwarty dzień poszedł leśniczy dalej za nim, chcąc się przekonać co się z nim stało. Wobec tego, że to było w obcym rewirze, nie wziął z sobą żadnej broni. Odyniec szedł dość daleko potokiem, widocznie ból i gorączka dokuczały mu, więc pił wodę. W gąszczu znać było że leżał, i gdy to miejsce leśniczy oglądał, usłyszał fuk i z przerażeniem spostrzegł nagle szarżującego odyńca. Skoczył w bok, dopadł do świerka, aby się dostać na niego, ale świerk młody ugiął się pod jego chwytem. Skoczył więc dalej do sosny i wygramolił się na nią, niewiedząc nawet jak.

Odyniec pozostał w gąszczu w pobliżu sosny, lecz nie widzieli się wzajemnie, słychać tylko było dzika, który nie odchodził. Leśniczy siedział na sośnie przeszło godzinę. W końcu zaczął wołać pomocy, aby kto przyszedł i oswobodził go. Na to wołanie dzik jakoby oddalał się. Leśniczy ułamał gałąź i stukał nią w drzewo, potem zsunął się z sosny i odszedł po cichu.

Odyniec ten chodził potem długo w tych lasach, omijał tylko starannie miot, gdzie był strzelany. Widziano wyraźnie bliznę w boku, gdzie kula wyszła. Była to bardzo wielka sztuka z ogromnemi szablami. Kula przeszła prawdopodobnie wysoko pod kręgami i stąd chwilowy paraliż, a że otwór wystrzału był wielki, farba nie zalała płuc, lecz uszła na zewnątrz, i dzik wyleczył się.

Leśny Salawa w Wysokiej, wracając późnym wieczorem z obchodu służbowego, strzelił do dzika przechodzącego przez linię, który zwalił się, lecz zebrawszy się

uszedł w gąszcz i zaległ niedaleko, gdzie go słychać było fukającego. Ponieważ zrobiło się ciemno, leśny zaznaczył miejsce i poszedł do domu, mniemając, że dzik tymczasem dojdzie. Zabrał z sobą córki, chłopca z latarką i sznurem i wrócił aby dzika zabrać.

Gdy się zbliżyli ze światłem do miejsca, gdzie dzik miał leżeć, ten wyjechał nagle ku nim. Leśny strzelił do niego śrutem, gdyż lotek ani kuli nie miał, dzik zwrócił się w gąszcz i zaległ znów. Leśny kazał poświecić latarką i znów strzelił do niego. Dzik po strzale uszedł kilka kroków i schował się w świerczynie. I tak szło dalej, aż go dopiero piątym czy szóstym strzałem położył.

Kozice mają twardy żywot, nawet dobrze strzelone idą ostro w górę, a tylko śmiertelnie trafione idą w dół, a i wtedy nawet są czasem trudne do podjęcia.

Cap strzelony rano tuż poza komorę, uszedł około pół kilometra w górę i zaległ, skąd ruszony, poszedł na dół w kosówkę. Na drugi dzień leśny poszedł za nim, myśląc, że już zginął. Wyskoczył przed leśnym niespodzianie, tak, że ten nie mógł strzelić i poszedł ostro w górę.

Cap trafiony kulą 9,3 mm pod łopatkę, zeskoczył ze skały gdzie leżał, i stał bez ruchu przez kwadrans, opuszczając coraz niżej głowę, wreszcie został dobity drugim strzałem.

Stary cap trafiony rano grubą kulą ołowianą w grzbiet strzałem z góry, uszedł, jakby był chybiony. Zaległ potem, schował się do groty, skąd wypłoszony, dostał kulę przez żołądek na wylot, zaległ znowu, ruszony poszedł w turnie wysoko, gdzie nie było dalej przejścia.

Wieczorem strzelec poszedł za nim, cap stał na wąskim gzymsie pod ścianą i stali tak naprzeciw siebie o kilka kroków, strzelec świsnął, a cap ruszył wprost na niego i byłby go może zrzucił ze skały, lecz dostał kulę w czoło i spadł z wysokości kilkudziesięciu metrów. Rożki przy tym upadku szczęśliwie ocalały, skóra wytrzymała, lecz wnętrzności były porwane i pomięszane z krwią i gnojem.

(C. d. n.)



JAROSŁAW HUBÁLEK

Demon puszczy

(Autoryzowany przekład Wład. Karnkowskiego)

(Ciąg dalszy)

Ciemne upierzenie siedzącej kury tak dobrze harmonizowało z tłem otoczenia, że chyba nawet chytry lis by jej nie wypatrzył. Minął ją jastrząb przeciągający wczoraj nad krzakiem, nie dojrzał ani syn gajowego Iwan, choć ma oczy bystre, jak mało kto — więc pełna wiary w własne bezpieczeństwo, wygrzewała swe skarby.

Zapomniała biedaczka o leśnym demonie, który pod postacią głodnej rysicy czaił się drożyną. Szczęście nie dopisywało jej tego dnia. Już podeszła była pięknego rogacza nie dalej, jak na dziesięć skoków, gdy nagle wiatr się odwrócił, niosąc z sobą ostrą jej woń. Z głośnym bekiem rzucił się rogacz do ucieczki, i nietylko uszedł pogoni, ale bekaniem wystraszył cały rewir. Zawróciła w inną stronę. Miękkie jej łapy niedosłyszalnie cicho kładły się na mokrej od nocnej rosy drożynie, zielono żółte światła zaś pilnie badały otoczenie. Kurę siedzącą pod krzakiem dojrzała tak wyraźnie, jak jastrząb białego gołębia w polu. Jeden nagły skok w bok, jeden niedbały na pozór ruch łapy i cztery ostre pazury tkwiły w jej ciele. Kilkoro piskląt usiłowało schronić się w gęstwie krzewu, lecz i tam dosięgły je ostre pazury głodnej rysicy. Wieczerza była smaczna, lecz niezbyt obfita. I tylko parę skrwawionych piórek świadczyło o popełnionej zbrodni na całej rodzinie.

Nazajutrz foksterjer Boj, ze zjeżoną sierścią wietrzył tu tak pilnie, że aż pan jego zdziwił się, iż pies tak bardzo interesuje się nic nie mówiącym krzakiem.

* * *

Tymczasem rysięta przewidziały i rosły w oczach. Nie mogąc już nasycić własnem mlekiem małych żarłoków, musiała je matka przyzwyczajać do mięsnego pożywienia. Nie przebierała w zdobyczy. Dobrym był i ptak i drobny gryzoń. Od jelenia czternastaka do chomika, od głuszca do sikorki — wszystko było pożądaną zdobyczą. Minęły te czasy, kiedy tylko ciepła jeszcze zwierzyna jej smakowała. Nie zaniedbała obecnie wrócić się dwa i trzy razy do tej samej ofiary, póki coś na niej było do zjedzenia.

Na Równiańskiej połoninie już wypasano bydło. Górskie to pastwisko, około tysiąca hektarów, na wysokości 1500 m daje wypas letni kilku okolicznym wioskom. Każda wysyła swego pasterza, którego po tygodniu zastępuje inny. Znają te pastwiska wilki i rysie — to też wiosennego wygonu bydła oczekują z upragnieniem. — Dozór nad dobytkiem bywa niezmiernie utrudniony, a przez to niedostateczny. Częste burze górskie rozpędzą dobytek po całej połoninie, głównie zaś konie szukają wtedy schronienia w gęstwach puszczy. Nie tak łatwo przychodzi pasterzowi zebrać do gromady rozpierzchłe

stado — paręset sztuk liczące, a gdy wreszcie je zbierze — nigdy się nie doliczy kilku sztuk zbłąkanych. Po jakimś czasie dopiero, zguba się odnajduje gdzieś w gęstwinach — do połowy pożarta.

Robota wilcza odróżnia się wyraźnie od rysiej. Ryś zadaje bydlęciu straszne rany tak zębami, jak pazurami; u krów napoczynając najpierw wymię. Wilk powala ofiarę chwytem za gardło, poczem zaraz otwiera wnętrzności, żeby się mięso nie psuło. Zasadniczo ryś mało szkody wyrządza w dobytku. Tłumaczy się to nie brakiem odwagi lub siły, lecz większą sprawnością w łowieniu zwierzyny, która jest dla rysia pożywieniem głównem. Mając brak zwierzyny, lub jak nasza rysica, zwiększone wymagania, schodzi ryś na połoniny i grasuje wtedy lepiej od wilka. Głodna rysica rzuca się na wszystko, nie bacząc, czy zmoże, lub nie, swą ofiarę. Zwierzę zaatakowane przez rysia, choć niekiedy uchodzi w ucieczce, odnosi zawsze rany tak dotkliwe, że po paru dniach ginie. Wilk atakuje większą sztukę zawsze w towarzystwie i to nie zawsze z pożądanym skutkiem, zabija bowiem tylko zębami. Natomiast ryś ogłusza strasznem uderzeniem swego ciała z odległości do sześciu metrów, wbija wszystkie dwadzieścia ostrych pazurów głęboko w ścięgna i żyły, podczas gdy kły, nie gorsze od wilczych topi w najczulszych wiązaniach karku. Toteż dwuletni byczek pada zwykle, jak rażony piorunem. Ledwie zdoła i to zawsze przedśmiertnie ryknąć. Szczęściem, jest to drapieżnik już bardzo rzadki, a na bydło domowe rzuca się bez upodobania i tylko z konieczności, inaczej byłby dla hodowcy groźną plagą.

A właściwie teraz bieda dokuczyła rysicy, pchając ją do zbrodni. Rysięta rosły, potrzebowały tedy coraz więcej pożywienia. Wprawdzie wychodziły już z matką na łowy, ale nie pomagały jej wcale; trzymały się przezornie z tyłu i dopiero na sygnał matczyny, że zdobycz padła, spieszyły z radosnem mruczeniem na ciepłą krew. Równocześnie zaprawiały się do łowów. Zaczęło się od małej myszki, pół żywej pod ciężką łapą rysicy. Postępy dziatwy napełniały dumą serce matczyne, lecz należało się rozejrzeć za inną zdobyczą, myszy bowiem w tym roku było bardzo mało z powodu wyjątkowego nieurodzaju bukowych orzechów.

W gęstym krzaku, dla zwykłego oka niewidzialna — wysiadywała pisklęta samiczka drozda, samczyk zaś wciąż pogwizdywał nad kolebką dzieci. To wystarczyło rysicy. Podpełzła pod krzak, strąciła z gniazda matkę i cała rodzina w okamgnieniu padła ofiarą małych rysiątek. Stary drozd od zmysłów odchodził z rozpaczy, patrząc bezradnie na śmierć ukochanych. Biadał i narzekał, aż las cały mu echem współczucia odpowiedział. Niestety tylko współczucia!

Jedna sojka dowiodła swej rodowej odwagi. Wrzasnęła raz, potem drugi, i na oślep poleciała w stronę, skąd płynęły skargi drozda. Zniszczenie całego gniazda gniewało ją podwójnie. Raz dlatego, że na jajka z tego gniazda sama w swoim czasie miała próżną ochotę, powtóre, że obecnie korzyść z tego odniósł kto inny. Na wrzask jej zleciały się wnet jeszcze dwie sojki i wspólnie napełniły cały las alarmującym krzykiem. Wprawdzie rysicy to nie przestraszyło, ale nie lubiła zwracać na siebie niczyjej uwagi. Lubo niechętnie, wolała jednak się oddalić, i zwoławszy rysięta, uprowadziła je w gąszcz.

Słusznie mówi ludzkie przysłowie: „Przezorność jest matką mądrości". Na szczycie sąsiedniej góry stał leśny, wsłuchując się we wrzask sojek. Domyślił się jakiegoś szelmostwa i raźno ruszył w dół, lecz przyszedł już za późno. Sojki rozleciały się na widok nowego nieprzyjaciela, nie przestając sejmować opodal. Tylko biedny drozd, skakał wciąż dokoła krzaka niebaczny obecności leśnego. „Nie mam szczęścia" mówił do siebie leśny, „spóźniłem się o kwadrans". Ślady pod krzakiem były słabo odciśnięte, lecz krzak sam powiedział mu wszystko. Nadłamane gałązki i zdarte liście, świadczyły o uderzeniu łapy i pazurów, nadto na jednym listku wisiał piękny, biały włos. Leśny położył go na dłoni, obejrzał uważnie i rzekł: „Mam pecha. Był tu ryś. Spóźniłem się. Ale poczekaj, łotrze, spotkamy się w zimie!"

Tymczasem nasza trójka minęła bezpiecznie gąszcze i stanęła na małej polance. Matka skryła rysięta w trawie, sama zaś popełzła na brzuchu do krzywej brzozy na skraju lasu i cicho jak duch, położyła się na jej pniu wygiętym prawie poziomo. Stąd rozejrzała się bystro po okolicy, a wschodzące słońce było dla jej oczu dostatecznem oświetleniem. W odległości jakich dwustu kroków stała sarna, do połowy ukryta za krzakiem leszczyny. Rysica nie zwracała na nią uwagi. Wiatr zły, nadzieja mała. Zato po drugiej stronie polanki kica zając. Wraca z nocnej włóczęgi i na pewno nie wytrzyma, żeby nie posmakować jeszcze słodkiej, leśnej koniczynki. Zsunęła się więc na ziemię i długiemi, choć cichemi skokami, podbiegła na spotkanie zająca, aż do ogromnego, wypruchniałego wewnątrz buku. Tu nagle znikła w pustym pniu leśnego olbrzyma. A zając tymczasem kicał spokojnie prost w paszczę demona śmierci. Gdy był na dwadzieścia kroków od buku, wypadła zeń rysica, jak sprężyną rzucona. Cała nadzieja ocalenia się biedaka polegała na szybkości nóg. Widząc, że jednak ryś go dogania, zakluczył raz, potem drugi. Ale z rysiem i kluczki nie pomogą. Zatrzymały napastnika ledwie o jeden skok. Po trzynastym, zamiast po dwunastym, ciężka łapa rysicy, przetrąciła krzyż biednej ofierze. Na przedśmiertne kniazienie przybiegły rysięta i z radosnem mruczeniem żłopać poczęły ciepłą krew z zajęczych strzępów. Po kwadransie tylko ciemna plama na ziemi i wystraszona sikorka na gałęzi, świadczyły o krwawym dramacie.

* * *

Nad Wielkim Bigarem — foremnym łukiem biegnącym pod Równiańską połoniną, już dawno kłaść się poczęły wieczorne mroki. Ptactwo leśne milkło, jeno kos pogwizdywał chwilami. Zdrzemnął się nieco, potem dokończył wieczornego hymnu i usnął na dobre. Hen, w dolinie huczał jeno Preluczny Potok, ojciec szalonego Szipotu.

Aż tu zawitała dziś rysica ze swemi dziećmi. Trupów sarnich i jelenich tu nie brak, a czasby był zasiąść do obfitszej uczty. Ostatnie dwa dni nie miała szczęścia. Nie było wprost czem nakarmić do syta rysiąt.

Strażniczą ścieżyną wybiegła nasza trójka na sam grzbiet góry. Nigdzie żywego ducha. Wtem z połoniny doszedł do uszu rysicy ryk bydła. Chwila namysłu. Powalić zwierzę niedołężne, zdegenerowane hodowlą, nie trudno. Ale przy bydle czuwają ludzie z psami, a tych, starała się rysica unikać za wszelką cenę. Pustka w żołądku i wzgląd na głodne rysięta, przemogły jednak głos rozwagi i pewnej nocy, pasterz Jurko Belej, nie doliczył się pięknej, rocznej jałowicy. Znalazł ją nazajutrz w gąszczu, z wyżartem wymiączkiem i obnażoną do kości zadnią pieczenią. Ogólnie podejrzywano o szkodę wilka i tak też zgłoszono ją w urzędzie. Dopiero leśny, Hawran, obejrzawszy dokładnie ślady kłów i pazurów na ciele jałówki, wyjaśnił, że musiała to być rysica z dwojgiem młodych. Historja podobna powtórzyła się tego roku jeszcze dwa razy, aż któryś z pasterzy ujrzał na własne oczy złodziejską trójkę. Gazdowie chodzili w deputacji do urzędów, ilości zabitych bydląt rosły fantastycznie w ustach poszkodowanych, aż gdy w końcu rysica rozdarła importowaną krowę szwajcarską jakiegoś prowincjonalnego dygnitarza, urzędowy wyrok śmierci zapadł nad rysią rodziną. Szczęściem dla niej, że co innego jest podpisać wyrok śmierci na zielonem suknie, a co innego wykonać go w zielonej kniei.

* * *

(C. d. n.)



Dr. STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

Pies

Ciąg dalszy

Z wybrzeży morza Śródziemnego wnika pies myśliwski do wnętrza kontynentu, ale nietylko z południa lecz także z wybrzeża Atlantyckiego i z Brytanji. Powstają wnet miejscowe, mniej lub więcej czystego pochodzenia psy myśliwskie. Ksenofont (434—355 przed N. Chr. P.) opisuje polowanie z psami myśliwskiemi Krety i Karji. Wspomnienia Ksenofonta o psach Karji i Krety dowodzą o nadawaniu psom nazw miejscowych, a w rzeczywistości były to psy, które wedle wszelkich historycznych danych pochodziły z Egiptu. Od Flawiusza Arrianusa, autora „Kynogetikos", dowiadujemy się, że Gallijczycy posiadali psy myśliwskie szorstkowłose, które nazywano „Heguzyjskiemi". Celtycki szczep ten zamieszkiwał w okolicy Lyonu, między Rodanem i Saoną, w dzisiejszym departamencie Bresse. Psy te zachowały się prawie niezmienione do dnia dzisiejszego pod nazwą Chien de Bresse. Wszelkie dane mówią, że pies szorstkowłosy Bresse jest produktem nie czystym tylko pochodzącym z krzyżowania. Ten sam typ psa myśliwskiego spotykamy dzisiaj także w innych nadbrzeżnych miejscowościach. W Bretanji nosi on nazwę Griffon fauve (rouge) de Bretagne. W Bośni znajduje się ten sam typ psa myśliwskiego i nazywają go tam gończakiem bośniackim. O psie tym dał pierwszą wiadomość kapitan strzelców austrjackich Laska.

We Włoszech typ psa Arrianusa nosi nazwę „Bracco" i spotkać go można w całej Italji aż do Sycylji.

W Szwajcarji, t. zw. Schweizerische Laufhunde, są pochodzenia identycznego z psami: Bracco, Griffon fauve i Chien de Bresse. Królewskie psy myśliwskie z nad Nilu: charty i gończe, które przez Fenicjan i Greków wwiezione zostały do Europy, były szczególnie psami myśliwskiemi rodów arystokratycznych i królów. Świadczy o tem cała masa dobrze przechowanych malowideł, rzeźb, ornamentacji i opisów myśliwskich od najdawniejszych czasów. Psy myśliwskie używane we Francji pod nazwą „Chien do Suisse" albo „Chien de porcelaine" to potomstwo importów Egiptu, przeszczepionych na ziemię Europy. Używano je do polowań par force, jednak przedtem, nim poszczególny pies wcielony został do sfory, przejść musiał sam twardą i subtelną szkołę polowania samodzielnego.

Nim pies myśliwski wstąpił na ziemię europejską, był on już osiadłym w Brytanji, gdzie w celu uodpornienia go przeciw warunkom atmosferycznym i uczynienia zdolnym do walk ze swymi nieprzyjaciółmi, starano się wszelkiemi możliwemi sposobami wzmocnić jego budowę. Prawdopodobnie ze skrzyżowania charta z psem epoki bronzowej, powstaje szorstkowłosa najdawniejsza rasa psów myśliwskich wielkobrytyjskich, psów do polowania na wodzie t. zw. Water-Hound, używanych specjalnie do polowań na wydry. Dalsze krzyżo-

wanie daje psy podobne bądź do chartów, bądź do dogów, z czego wreszcie powstaje Mastiff. Znane angielskie Bloodhounds, łączą w sobie siłę i odwagę Molossa (Mastiffa) ze zwinnością i wzmożonym zmysłem węchu psa egipskiego.

Rodzaj myślistwa podlega z biegiem czasu najróżnorodniejszym przekształceniom i zmianom i powoduje eo ipso zmiany w psach do łowiectwa przeznaczonych. Polowanie par force było najulubieńszym i najbardziej rozpowszechnionym systemem łowieckim. Psy myśliwskie musiały być odpowiednio dostosowane. Pierwsze, lekkie stosunkowo psy myśliwskie, nie odpowiadały ówczesnym wymaganiom. Dobry i szybki tropowiec musiał zdobyć większą siłę i wytrzymałość. Osiągnięto to, wprowadzając do psów myśliwskich krew doga i najróżnorodniejszemi krzyżowaniami. Tylko w Niemczech natrafiało się, obok rasowych chartów i psów myśliwskich na rozmaite mieszańce używane do polowania. Natomiast we Francji i w Anglji do polowań par force zawsze używano pięknie wyrośnięte, jednolite pod względem formy i ubarwienia egzemplarze. Arcywspaniale wyglądała sfora psów myśliwskich dochodząca nawet do 100 sztuk, wszystkie jak jeden pod względem wzrostu, maści i budowy.

Najsławniejszemi psami angielskiemi do par force'ów były Foxhund'y.

Historja psa wykazuje, że od dawien dawna człowiek dążył do tego, by obok psa wielkiego, wyhodować i psa średniego wzrostu albo zupełnie małego. Pies musiał się zastosować nietylko do życzeń i potrzeb człowieka, ale w równej mierze podlegał kaprysom mody.

Psy myśliwskie musiały zmieniać się odpowiednio do gustów i chimer myśliwego. Widzimy więc obok psów symetrycznej budowy również psy niskie na nogach ale bardzo wydłużonej budowy, na nogach krótkich, krzywych. Wystarczy wspomnieć tylko angielskiego Beagle, francuskiego Basseta, niemieckiego jamnika a będziemy mieli istną orgję zamiłowań, gustów, mody i użyteczności psa łowieckiego.

Kończąc opis pochodzenia psa myśliwskiego, zatrzymam się jeszcze chwilkę na krótko- i szorstkowłosym psie myśliwskim. Długowłose bowiem wyprowadzają się z innego pnia.

Od wieków zauważyli myśliwi, że niektóre psy mają własność, zwęszywszy zwierzynę, przystawania. Pliniusz i Ksenofont odpowiednio psy takie opisali. Własność wystawiania uwydatnia się w ten sposób, że pies zwietrzywszy zwierzynę, raptownie, nagle, podczas najsilniejszego galopu przystaje, podniósłszy przednią nogę w górę i pozostaje w swym bezruchu, jedynie ogonem nerwowo poruszając, aż do przybycia myśliwego. O ile dla tropowca wystawianie było wielkim błędem, o tyle stwierdzono, że dla niektórych rodzajów łowów, własność taka może być bardzo korzystną. Psy te użyto do polowań z sokołami, z sieciami aż wreszcie w najnowszych czasach z bronią w ręku. Szczyt doskonałości osiągnął pies myśliwski w chwili obecnej, kiedy obszary łowieckie uległy olbrzymiemu skurczeniu, a broń łowiecka jest doprowadzona do granic, prawie że, doskonałości. Dzisiaj jest wyżeł, pies myśliwski pod względem formy i własności ze wszech miar doskonałym. Jestto zasługa człowieka.

Wyżły długo- i krótkowłose wywodzą się z psów myśliwskich, które pochodziły z Egiptu. W Egipcie znanym był również pies, który zwierzynę wystawiał. Czy był on produktem czysto egipskim, to znaczy wyhodowanym tam przez skrzyżowanie psa myśliwskiego z tam bytującemi psami assyryjskiemi, czy też po nawiązaniu łączności Egiptu z Europą i Brytanją, dostał się drogą wymiany, trudno dzisiaj z istniejącego materjału naukowego dociec.

(Dok. nast.)



STANISŁAW KORWIN MILEWSKI

Dobry człowiek

(Ze wspomnień o ś. p. Aleksandrze Karczyńskim, leśniczym w Rudnej z powodu 10-letniej rocznicy jego zgonu)

Wspomnienia! Jakież to powszechnie znane słowo, bo któż nie ma wspomnień na świecie. Każdy człowiek, gdy już dojdzie do pewnego wieku, ma swoje wspomnienia, wspomnienia które kocha, które w myślach pieści, które w sercu i w duszy swej skrycie i zazdrośnie chowa. Ale są i takie wspomnienia o których się nietylko myśli — które się nie tylko kocha, ale o których się mówi chętnie, o których się pisze, o których się tak chętnie gwarzy. Któż ma więcej wspomnień od myśliwego? Tak dla prawdziwego łowca całe jego życie jest jednem wielkiem wspomnieniem umiłowanej pieśni, poezji najcudniejszej, jaką tworzy w miłosnem połączeniu pełna tajemnic prastara natura naszych rozległych pól i borów i nasze ukochane łowiectwo.

Od wczesnej młodości chowając się na wsi pod okiem i kierunkiem przezacnej mojej babki Zofji Dąmbskiej z domu Trzecieskiej, córki Stanisława z Trzecieża Trzecieskiego oficera wojsk polskich z 1831 roku, jednej z tych rzadkich już dzisiaj rycerskich matron polskich,

nauczyłem się od niej kochać nasze pola i bory, nauczyłem się służyć wiernie tej naszej ziemi rodzinnej, rozumieć przedziwną baśń, jaką niektórym tylko stepowe wichry w tajemnicy opowiadać raczą, nauczyłem się kochać prawdziwe łowiectwo. To też bardzo młodym jeszcze będąc, umiłowałem całą duszą naturę i stałem się gorliwym wyznawcą św. Huberta.

Pierwszą „praktykę ze strzelbą" zacząłem w Rudnej, majątku mego wuja Stanisława Dąmbskiego pod przewodem a poniekąd i opieką ś. p. leśniczego Aleksandra Karczyńskiego. Dnia 4 lutego b. r. minęło dziesięć lat od jego śmierci — a że to był wierny św. naszego Patrona czciciel — więc niech mi wolno będzie tu kilka słów ze wspomnień o nim napisać.

Czytelniku! przypomnij sobie rozdział IX. „O zawodzie leśnika" w przepięknej pracy p. Romana Balki, „O praktyce myśliwskiej Döbla i dawnych łowach (Nr. 9 i 10 Łowca z maja 1915). Pan Balko przypomina, że Döbel gospodarz „wszechstronnie w lesie i w polu z łowiectwem, leśnictwem czy rybołostwem obeznany" — zawód swój cenił bardzo wysoko a wymagania jakie się miało wówczas od leśnika ujął w czterech słowach: Leśnik miał być: 1) Hirchgerecht, 2) Jagdgerecht, 3) Holtzgerecht i 4) Forstgerecht — t. j. 1) Powinien znać zwyczaje i tropy zwierząt łownych, 2) powinien umieć urządzić łowy takie, jakich chlebodawca sobie życzy, by one najkorzystniej wypadły przy możliwej oszczędności czasu i środków, 3) znać się dobrze na leśnictwie, taksowaniu i spożytkowaniu drzewa i 4) znać swój rewir jak własną kieszeń i w dzień i w nocy umieć się w nim orjentować.

Prócz powyższych przepisuje Döbel, by leśnik był pobożny, wierny, rozumny, szlachetny, uważny, wesołego usposobienia, nieustraszony, trzeźwy, wreszcie by był zdrów zupełnie i by miłował psy.

Takim to według „przepisu" Döbla leśnikiem był ś. p. Aleksander Karczyński, znał on zwyczaje wszelakiej zwierzyny — którą kochał z całego serca, pielęgnował i ochraniał, był wzorem sumienności przy organizowaniu polowań, był oddanym zarządcą dla swego rewiru, który miał w nim troskliwego i mądrego gospodarza, był wierny i rozumny, pobożny i niebywale uczciwy, szlachetny i trzeźwy i miłował swe pieski. Stary kawaler, żył jak asceta, poprzestając na małem — był człowiekiem szlachetnym i dobrym w całem znaczeniu tego słowa.

Jedno tylko w nim szwankowało, to jest zdrowie, był bowiem bardzo delikatnej budowy, cierpiał na reumatyzmy i inne dolegliwości i często zapadał, zwłaszcza w ostatnich latach życia — ale los swój znosił zawsze pogodnie i pracował wytrwale, a jedyną skargą, jaką z ust jego słyszałem, było żartobliwe powiedzenie, które mu się czasem wyrwało: „Ach mój Boże, ile człowiek musi się nacierpieć, zanim tym świętym zostanie".

Ja osobiście dużo mu zawdzięczam, on to dał mi tysiące mądrych i pożytecznych rad łowieckich, nie będąc nigdy mentorem a zawsze tylko bardzo mi „oddaną duszą", on dopomagał mi jaknajsumiennej i z jaknajwiększym zapałem do zorganizowania rewiru Rudna, gdy mi w roku 1907 oddał tam polowanie mój wuj Stanisław Dąmbski.

Miał ś. p. Karczyński w rewirze do pomocy przez siebie wyszkolonych a doskonałych strażników łowieckich ś. p. Jana Wierciocha i ś. p. Piotra Przybyłę, safandułę ale poczciwego służbistę leśnego, ś. p. Chmaja i mojego przybocznego strzelca, fenomenalnego Staszka Mazura.

To też rewir rudzieński podnosił się szybko pod ręką ś. p. Karczyńskiego, okoliczne polowania okręgów spółek łowieckich zostały nam wydzierżawione, zorganizowane zostało tępienie szkodników, kłusownictwu wypowiedziano walkę bezwzględną a zwierzyna łowna otoczona została najtroskliwszą opieką i ochroną. Z każdym rokiem stosunki łowieckie poprawiały się w rewirze. Ś. p. Karczyński namówił mnie także do sprowadzenia bażantów, które otoczone opieką, rozmnożyły się doskonale i przez szereg lat dodawały uroku polowaniom w Rudnej.

Przyszła „wielka wojna" a wraz z nią przyszły ciężkie bardzo chwile dla rudzieńskiego rewiru. Niezapomniane będą przeogromne zasługi tego dobrego człowieka dla Rudnej i dla naszej rodziny w czasie dwóch inwazyj rosyjskich w powiecie rzeszowskim, zlikwidowanych dopiero w bitwie Karpackiej zwanej bitwą pod Gorlicami.

Rudna w tym czasie była zupełnie pusta, bo jej właściciel i jej mieszkańcy a nawet cała młodsza administracja musieli ją opuścić, by iść publicznej służyć sprawie. Ś. p. Karczyński przenosi się wtedy z leśniczówki do dworu i tu chroni i strzeże, co może od grabieży, nie zaniedbując oczywiście także poruczonego swej pieczy rewiru. Dzielny to był człowiek i zaprawdę szczęśliwym może się nazwać chlebodawca, który miał w tych czasach takiego, jak on, sługę. Gdyby nie praca, wierność i zapobiegliwość jego i tych kilku dzielnych ludzi, którzy razem z nim wytrwali na posterunku i ochraniali wtedy Rudnę od gwałtów i rabunków sołdatów — to możeby nie było z całego tego pięknego majątku kamienia na kamieniu zostało.

Ś. p. Karczyński, ś. p. gorzelnik Witowiak, kasjer Andrzej Piech, stary gospodarz ś. p. Andrzej Sawoła, fenomenalnie zdolny i obrotny chmielarz ś. p. Jakób Trzeciak „ministrem spraw zagranicznych" zwany, oto nazwiska tych, którzy z narażeniem swego zdrowia i życia ratowali Rudnę od zagłady w ciężkich chwilach nieprzyjacielskiego zalewu.

Po przepędzeniu Rosjan w maju 1915 roku, gdy powróciły niby to normalne stosunki, zabiera się ś. p. Karczyński gorliwie do pracy nad podniesieniem nadszarpanego inwazją rewiru. Praca jego wydaje wkrótce rezultaty i lata 1916, 1917 i 1918, to lata dla łowiectwa w Rudnej pomyślne, rewir powoli wraca do przedwojennego stanu i stale się podnosi.

Ś. p. Karczyński kochał swoją zwierzynę, dbał o nią rozumnie, ochraniał i pilnował stale — znanem było jego ogromne przywiązanie do zwierzyny, zwłaszcza do

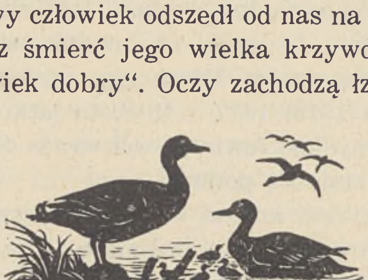
sarn i do bażantów. Opowiadał mi raz Dr Adam Midowicz, prokurator w Rzeszowie i delegat M. T. Ł. charakterystyczną historję o ś. p. Karczyńskim. Było to późną jesienią 1915 roku, wracał razem ze ś. p. Franciszkiem Leszczyńskim, kierownikiem Starostwa w Rzeszowie z jakiegoś polowania w Budach Głogowskich do Rzeszowa. Gdy przejeżdżali koło leśnictwa w Rudnej, poderwały z gościńca bażanty, żywione przez ś. p. Karczyńskiego i zapadły w pobliżu. Starosta Leszczyński zapalony myśliwy, zeskoczył z wozu i chciał strzelić do bażantów, ale w tejże samej chwili nadbiegł ś. p. Karczyński i prawie ze łzami w oczach zaczął starostę błagać, aby nie strzelał do tych ptaków, które on kocha jak dzieci, a które już i tak przez Moskali zostały prawie zupełnie wybite. Ś. p. Leszczyński zaniechał strzału a będąc sam dobrym myśliwym pochwalił staruszka za jego „łowiecką duszę“ i za jego przywiązanie do poruczonego jego pieczy rewiru.

Ostatni raz polowałem ze ś. p. Karczyńskim w Rudnej dnia 16 października 1918 roku. Rewir spisał się doskonale a ś. p. leśniczy był tego dnia w nadzwyczajnym humorze, bo dumnym był z rezultatu polowania, a nadto sam ubił lisa, tego strasznego wroga jego ukochanych bażantów.

Nadeszła jesień 1918 roku. Znane są jej dzieje. Przyniosła nam ona upragnioną niepodległość, ale oddała rządy w kraju ludziom bez charakteru i niepoczytalnym doktrynerom — którzy pogrążyli Polskę w chaos, anarchję i ruinę. Smutna to epoka polskiego sejmowładztwa.

W zimie 1918/19 został rewir rudzieński zupełnie zniszczony, zniszczyli go kłusownicy i dezerterzy włóczący się bezkarnie po całych dniach i nocach po rewirze, wystrzelali oni, wytłukli i wyłapali prawie całą zwierzynę łowną. Ś. p. Karczyński miał smutny koniec — widział jeszcze przed śmiercią pogrom umiłowanego przez siebie rewiru, widział zupełne zniszczenie tak pielęgnowanej i kochanej przez siebie zwierzyny — widział nadto zupełny upadek wszelkiej moralności w Polsce. Ja mam osobiście przekonanie, że to go zabiło.

Już przeszło dziesięć lat minęło od jego zgonu — a nam brak go coraz większy. W dzisiejszych czasach, gdy tak o charaktery trudno, gdy tyle się w Polsce widzi złych i przewrotnych ludzi, gdy ośm lat sejmowładczej anarchji, wytworzyło u nas typ człowieka, który nie rozróżnia dobrego od złego, szlachetności od podłości, typ człowieka, dla którego osobisty, choćby nieuczciwy zysk jest ważniejszy i świętszy jak wszystkie świętości na świecie — to żal nam serce ściska, że ten zacny, prawy, nawskróś uczciwy człowiek odszedł od nas na zawsze. Stała się nam przez śmierć jego wielka krzywda — odszedł od nas „człowiek dobry“. Oczy zachodzą łzami.



Dr H. MALSBURG

O imporcie zwierzyny łownej

Niejednokrotnie już a ostatnio na Zjeździe Delegatów Centr. Związku P. Tow. Łowieckich dnia 24 czerwca b. r. w Poznaniu, użalali się hodowcy-myśliwi, że nie widzieli wybitnych skutków po sprowadzeniu ze stron obcych dla odświeżenia krwi, zajęcy.

Kółko myśliwskie, do którego niegdyś należałem, sprowadziło przed wojną 25 zajęczyc z Czech czy z Moraw i wpuściło do rewiru, gdzie były dobre dla zajęcy warunki, bo i las o drzewostanie mięszanym dobrze był podszyty i pola i łąki wokoło. Rewir dobrze strzeżony, kłusowników, wnykarzy ani epidemji zajęczej nie było, a szkodników czworonożnych i skrzydlatych niewiele. Zajęczyce te poznaczono nacięciem lewego słucha. W drugim roku nie polowano wcale a pomimo tego w latach następnych ubito wszystkiego dwie zaznaczone zajęczyce, zaś po pozostałych dwudziestu trzech ślad wszelki zaginął i co się z niemi stało, gdzie się podziały — do dziś dnia niewiadomo. Nie zauważono również, by ilościowo i jakościowo stan zajęcy się polepszył. Odpowiadałoby to w zupełności skargom, o których na wstępie wspomniałem, t. j. że tak zwane odświeżanie krwi zapomocą importowanych zajęcy, nie daje zawsze widocznych i spodziewanych rezultatów.

J. Magnif. P. Rektor Niezabitowski, wyraził na owym zjeździe poznańskim możliwość przyczyny tego w istnieniu kilku ras zajęcy, których krzyżowanie nie wydaje potomstwa lub też tylko stosunkowo nie wielką ilość. Zdanie to, aczkolwiek z tak poważnych ust wypowiedziane, nie przemawia mi jednak do przekonania. Jeśli bowiem otrzymujemy bastardy z odmienych ras i gatunków innych zwierząt np. konia i osła, z bizona i żubra, z psa i wilka i t. p. jakoteż ze wszystkich a tak różnych odmian królików i t. d. — dlaczego nie może wydać potomstwa nie krzyżowanie nawet, lecz łączenie dwu o bardzo małej różnicy rasy (?) zajęcy?

Może głos w tej sprawie zechcą zabrać doświadczeńsi odemnie przyrodnicy i hodowcy — ja zaś ośmielę się inną podać prawdopodobną przyczynę nikłych tu i ówdzie rezultatów po sprowadzeniu rozpłodowych zajęcy.

Otóż zdaniem mojem importowane zające dają po prostu drapaka w strony rodzine i starają się powrócić tam, gdzie się wychowały i żyły. Zając bowiem nie należy do zwierząt lubiących dalsze wycieczki jak np. sarna, jeleń, dzik i t. p. — trzyma się z reguły uparcie miejsca rodzinnego, a nawet spłoszony i goniony powraca wkrótce do swego dawnego legowiska. Ta właśnie cecha jego przemawia za tem, że przesiedlony stara się on powrócić tam, skąd jest rodem. Być może, że nowe geograficzne, klimatyczne lub inne, a nam nieznane i niewiadome warunki, do których nie przywykł — zachęcają go do porzucenia gościnnych lecz obcych mu stron i powrotu do swoich rodzinnych pieleszy. Bo jeśli instynkt, czy tęsknota zwierząt domowych, jak kota, psa, często i konia, nie mówiąc

już o gołębiach, pobudza je do powrotu do miejsc, gdzie się wychowały lub dłuższy czas przebywały, to tembardziej instynkt ten tkwić musi i to w nieprównaniu większym stopniu u zwierząt w dzikim stanie żyjących.

Wszak ptactwo wędrowne i przelotne po kilkumiesięcznej niebytności, obdarzone zadziwiającą pamięcią topograficzną i lokalną, nietylko trafia z jednej półkuli świata do drugiej, ale powraca nawet pod tą samą strzechę, do swych gniazd gdzie się wywiodło — jak np. bociany, jaskółki a pewno i inne.

Dlaczegożby zatem zając — zwierzę zresztą nie tak głupie, za jakie je uważają — nie mógłby się pokusić o powrót nie o tysiące, lecz ledwo o kilkaset kilometrów oddalonego miejsca swego pochodzenia? Czemu odmawiać mamy w czambuł patrjotyzmu i wyrzekania się „narodowości“ zwierzęciu, dlatego, że on jest „tylko zającem“?

Kto zające za drogie pieniądze (dotychczas przeważnie z zagranicy) sprowadzał, ten z pewnością i straż łowiecką dobrą posiada i warunki wygodne zwierzynie daje, a jeśli spodziewanych rezultatów nie ma, nie jego w tem, ani eksportera wina, lecz nieodmienne prawa przyrody, które ani wolą ani pieniądzmi ludzkiemi ujarzmić się nie dadzą.

Niniejszym artykułem nie mam bynajmniej zamiaru odstręczać chętnych i potrzebujących od zaniechania zupełnie sprowadzania do nadwątlonych rewirów obcych zajęcy, gdyż i z tych przecież jakiś procent pozostanie i następne generacje wyprodukuje, chciałbym jednakże przedewszystkiem zachęcić i dać inicjatywę do baczniejszej obserwacji życia i zwyczajów zwierząt a o to tak przecież nie trudno. Mamy w kraju już kilka własnych zakładów hodowlanych i eksportowych, które dostarczają zwierzyny rozpłodowej (w Krośniewicach, Rzędówce, Jarząbkowicach a w Małopolsce w Łukawicy koło Stryja). Zakłady te powinne zaopatrywać wysyłane zające (ewentualnie bażanty, kuropatwy, indyki) w swoje firmowe znaki i cechy (kolczyki ewentualnie obrączki), tak, aby zwierzynę tę poznać można było, skąd pochodzi.

Po tych znakach nietrudno będzie się zorjentować, co się ze sprowadzoną zwierzyną dzieje, gdzie się podziewa, w które strony dąży. Zwierzyna pochodząca z jednej i tej samej geograficznej strefy, jednakich warunków klimatycznych i fizjograficznych, łatwiej ostanie się na miejscu, czując się jak u siebie w domu, niż sprowadzane z ciepłych Moraw, Czech lub Węgier. A jeśli ktoś chce swój zwierzostan koniecznie i radykalnie krwią obcą odświeżyć, powinien sprowadzone z dalszych stron zające wpierw u siebie w stosownych parkach (obrębach) zajęczych zaaklimatyzować, rozmnożyć i dopiero następne pokolenie, tu już urodzone, na wolność wypuszczać w swoje rewiry.

Księga myślistwa i przyrodoznawstwa jeszcze nie zamknięta. Wiele kart jest jeszcze w niej niezapisanych a obowiązkiem i interesem naszym jest corychlej je wypełnić.

Chcącemu nic nie trudno.

Gen. WALERY MARJAŃSKI

Znowu kilka uwag

z amunicją śrutową Zakł. Amunic. „Pocisk“

Spieszę podzielić się z Braćmi w św. Hubercie znowu garstką nowych spostrzeżeń i doświadczeń z amunicją śrutową wyrobu krajowego Zakładów Amunicyjnych „Pocisk“, której rozwój z wielkiem zainteresowaniem od chwili pierwszego pojawienia się rodzimych łusek obserwuję.

Oto mniej więcej przed rokiem były głośne skargi na spłonki, używane przez „Pocisk“, którym zaczęto zarzucać, że powodują intensywne rdzewienie luf.

Ponieważ sam nie mogłem dotąd tego skonstatować, czyszcząc zawsze zaraz po strzelaniu broń i natłuszczając odpowiedniemi smarami — przeto przeprowadziłem z ciekawości szereg prób, które pozwalam sobie Szan. Czytelnikom podać do wiadomości.

I tak wystrzeliłem przy temperaturze I. 0^0 C z luf ze stali niklowej 20 łusek „Pocisku“ (tylko spłonkami, bez prochu) — i 20 łusek niemieckich marki „Uttendörfer“ (te ostatnie ze spłonką miedzianą „Gevelot“, znaną z tego, że nie wywołuje rdzewienia). Zaznaczam, że lufy wytarłem przedtem na sucho i oczyściłem z wszelkiej warstwy tłuszczu.

Poczem postawiłem obie zadymione lufy na przeciąg 24 godzin w izbie ogrzanej do $+ 14^0$ R.

Po przetarciu suchym wyciorem aż do zupełnej czystości — co trwało kilka minut — pozostawiłem znowu obie lufy na dalsze 24 godziny w tej samej izbie — oczekując, że lufy mimo tego czyszczenia znowu zardzewieją.

Rezultat: lufy nie wykazywały żadnego rdzewienia ani w 24 godziny po wystrzeleniu spłonek, ani po wytarciu ich suchym wyciorem — ani też po upływie dni następnych.

Inaczej miała się sprawa, gdy te same próby powtórzyłem ze zwykłemi stalowemi lufami (Krupp'scher Flusstahl) — mianowicie lufa, z której strzelałem niemieckiemi spłonkami Gevelot z fabryki Utterdörfer dała się z łatwością kilku pociągnięciami suchego wyciora wyczyścić i pozostała czystą przez cały szereg dni następnych — podczas gdy spłonki „Pocisku“ wywoływały dość silne i uporczywe rdzewienie $\frac{1}{3}$ lufy (tj. tak daleko jak płonki spłonki sięgał) — które suchym wyciorem absolutnie nie dało się usunąć; musiałem używać smarów antinitrowych a nawet szczoteczki drucianej, by rdzę usunąć — poczem wytarłszy lufę na sucho — pozostawiłem ją na 24 godzin w izbie $+ 12^0$ R ogrzanej.

Po upływie tego czasu okazało się, że lufa z której strzelałem spłonkami „Pocisk“, znowu w swej $\frac{1}{3}$ długości zabiegła rdzą.

To rdzewienie powtarzało się po czyszczeniu przez 2 dni następne.

Porównując te rezultaty, przyszedłem był do przekonania, że spłonka niemiecka była, co się nierdzewienia

luf tyczy — absolutnie lepszą od spłonek wówczas przez „Pocisk“ używanych.

N. b. przy lufach ze stali antikorrozyjnej jest to rzeczą obojętną, bo tu lufa bez względu na użytą spłonkę wogóle nie rdzewieje.

Przy tych próbach stwierdziłem z absolutną pewnością, że spłonki niemieckie miedziane „Gevelot“ były silniejsze, wydając daleko silniejszy huk i płomień z lufy na 20 cm zewnątrz wylotu — podczas gdy po wystrzeleniu spłonki „Pocisku“ ledwie dym z lufy wychodził — (co może mieć duży wpływ na zupełne spalenie prochu — szczególnie przy dużych mrozach).

Wyznaję szczerze, że rezultaty tych prób porównawczych bardzo mój entuzjazm dla rodzimej fabrykacji ostudziły.

Upłynął rok — Zakłady Amunicyjne „Pocisk“, dbając widocznie o postęp w wytwórni łusek — postarały się o inne spłonki, rzekomo równie dobre, jak niemieckie, których główną zaletą miało być nierdzewienie luf.

Naturalnie postarałem się bezzwłocznie o łuski z nowemi spłonkami i przeprowadziłem analogiczne, jak poprzednio próby.

Rezultat tych wypadł ku mojej wielkiej radości d o s k o n a l e!

Entuzjazm dla rodzimych łusek poszedł znowu w górę, niby barometr „na pogodę“.

Mianowicie zwykłe stalowe lufy — zadymione wystrzeleniem dużej ilości spłonek „Pocisku“ n o w e g o typu, przetarte suchym wyciorem, błyszczały się i nie rdzewiały w późniejszym czasie zupełnie. Również siła eksplozji spłonki była zupełnie równą eksplozji niemieckich „Gevelotów“.

Czy Zakłady Amunicyjne „Pocisk“ skopjowały żywcem spłonkę doskonałą niemiecką — co może byłoby najracjonalniejsze — czy zastosowały jakiś własny „trick“ — nie potrafię osądzić. Konstantuję tylko, że obecnie spłonka „Pocisku“ jest pod każdym względem doskonałą — i ciesząc się z tego — gratuluję „Pociskowi“ tego nowego sukcesu.

Jedna tylko okoliczność będzie jakiś czas opinji łusek „Pocisku“ szkodzić — t. j. fakt, że zewnętrzny wygląd nowej spłonki niczem się od starego modelu nie różni — a w handlu — szczególnie na prowincji — dużo jeszcze ładunków, wzgl. łusek z dawną spłonką się znajduje. Skargi więc na rdzewienie luf, wywołane spłonkami tak długo nie zamilkną, aż dawnego modelu spłonki nie znikną. Możeby przecież było wskazane łuski z nowemi spłonkami jakoś zewnętrznie oznaczyć — a starych łusek choćby po zniżonych cenach pozbyć się, jak najprędzej, by nie psuły renomy fabryce.

Nie chcę powyższem twierdzić, że łuski „Pocisku“ z nową spłonką są już na tej wyżynie doskonałości, że nie można już ich bardziej udoskonalić. Owszem! Odnosi się to do stopnia satynowania względnie stearynowania papieru używanego na tulejkę. Obecnie są wprawdzie łuski „Pocisku“ powleczone stearyną — lecz wedle moich spostrzeżeń trochę za mało. Wystarczy, by patron upadł na wilgotną trawę — to w tej chwili papier naciąga wilgoci — i w dalszym ciągu choć wysuszony — pęcznieje i z pewną trudnością do komory nabojowej wchodzi.

Tu byłoby pole do dalszego perfekcjonowania!

Koniecznem jest, by nasze „Pociski“ były i pod tym względem równe n. p. angielskim łuskom Elleya, które istotnie na zwilgotnienie są niezwykle odporne.



Z KARPAT

Tegoroczne rykowisko w Karpatach Wschodnich było naogół dobre. Jelenie ryczały doskonale, aura z początku fatalna, przeszła jednak po kilku dniach w stałą wspaniałą pogodę. Byki osadziły jednak po największej części słabe i liche wieńce, co po przeszłorocznej straszliwej zimie było spodziewane. Padło w Karpatach wschodnich około 30 byków. O ile mogliśmy sprawdzić, najlepszym wieńcem tegorocznym jest 14-tak z Perehińska p. Pawłowej Garapichowej. Jestto wieniec zwyż 10 kg wagi o wspaniałej rozpiętości i grubości. Godnemi dalej wzmianki są: Jerzego hr. Potockiego 14-tak z Polanicy, Ludomira Cieńskiego z Perehińska, inż. Ebenbergera 18-tak z Sołotruk, Józefa Jabłonowskiego 14-tak z Suchodoła.

Niedźwiedź, o ile nam wiadomo, padł tylko jeden tej jesieni; ubił go Zdzisław hr. Tarnowski w Polanicy.

A. M.



Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

(Ciąg dalszy)

Również przez cały rok, aż do ewentualnego wprowadzenia czasu ochrony drogą rozpporządzenia Rady Ministrów (art. 51 ust. 2 lit. e i ost. ust. — powołanem rozporządzeniem przekazano także uprawnienie Wojewodom) wolno przez cały rok polować (tylko strzelać) na sy, niedźwiedzie, rysie, żbiki, kuny leśne (tumaki), norki i orły. Nadto w myśl art. 37 ust., bez ograniczenia czasu, można zabijać psy niemyśliwskie i koty, włóczące się w obwodzie łow. w odległości conajmniej trzystu metrów od zabudowań gospodarskich lub trzydzieści metrów od drogi publicznej.

Natomiast w myśl art. 49 podlegają corocznie czasowej ochronie następujące drapieżniki, wzgl. szkodniki: borsuk od 1 grudnia do 31 sierpnia, wiewiórka od 1 marca do 31 października (nb. rozporządzeniami Min. Roln. z 10/I. i 15/XI. 1928 rozszerzono bezwzględną jej ochronę po koniec roku 1930) — różne, nie wymienione w ustępie 4 od końca, szkodliwe ptactwo wodne i błotne od 1 marca do 10 lipca (nb. tu należą czaple, bąki, łyski, mewy, bociany zwyczajne (o ile nie występują w większych ilościach) oraz drapieżne i bardzo szkodliwe błotniaki), a wreszcie — z wyjątkiem zupełnie niechronionych jastrzębi-gołębiarzy, krogulców, srok i wron — podlegają ochronie od 1 lutego do 15 sierpnia ptaki krukowate i drapieżne (nb. kruk, wroniec, gawron i kawka-sokoły, (orły nie chronione — ob. wyżej), myszołowy, kanie i sowy; o niektórych sokołach i sowach oraz wszystkich myszołowach, pożytecznych dla rolnictwa i zasługujących na stałą ochronę, będzie jeszcze wzmianka później).

Do drapieżników wzgl. szkodników, które podlegają corocznie czasowej ochronie, wolno w okresie polowania tylko strzelać, zaś uznane, w myśl art. 41 ustawy łow. z mocy przepisów prawa rybackiego, za szkodliwe dla rybołówstwa: orzeł-bielik, orzeł-rybołów, piaskowiec (mewa siwa) i czapla siwa — jak już zaznaczono — mogą być także łowione w paści.

Nadto w myśl art. 48 ust. łow. stale zabronionem jest polowanie (strzelanie i łowienie) na niedźwiedzice od niedźwiątek i czarne bociany. (Te ostatnie pojawiają się rzadko, żyją tylko w lasach i gnieżdżą się zawsze na drzewach).

Przy posługiwaniu się żelazami, potrzaskami, pułapkami i t. p. zauważa się naogół, że stosowanie tych przyrządów może mieć miejsce tylko w tych rewirach myśliwskich, nad którémi wykonywany jest stały dozór łowiecki, bądź przez samego właściciela wzgl. dzierżawcę polowania, bądź przez straż łowiecką, na którejby można polegać. Przy tym sposobie łowienia zachować należy możliwą ostrożność ze względu na bezpieczeństwo ludzi i zwierząt domowych. Chwytanie takie wymaga nieraz cierpliwości i wytrwałości, a co nader ważne, codziennej wczas rano kontroli nastawionych przyrządów, tak zabijających odrazu jak i niezabijających względnie żywcem chwytających, ażeby zwierzę zabite było niezwłocznie usunięte, zaś pochwycone i żywe jeszcze nie było wystawione na męczarnię lub śmierć głodową. Także trzeba bacznej uwagi, ażeby zagrażające otoczeniu przyrządy (żelaza, potrzaski) nie pozostawały od świtu do nocy w stanie niezabezpieczonym, lecz tylko na noc były nastawiane lub też ażeby na dzień w ogólności były usuwane.

Do zakładania przyrządów nadają się przedewszystkiem rewiry leśne, zwłaszcza miejsca głębiej w nich położone i mniej lub wcale nieuczęszczane, zaś w rewirach polnych przy zachowaniu zwiększonej ostrożności posłużyć się możemy przyrządami, gdy chodzi o zdziczałe koty, dalej łasice, tchórze i kuny domowe (kamionki). Do tych drobniejszych szkodników w polu nadają się szczególnie łapki skrzynkowe chwytające żywcem, a które nie są dla otoczenia niebezpieczne. Obwody łowieckie własne dają większą swobodę i udogodnienia w posługiwaniu się przyrządami do chwytania, atoli i na obwodach łowieckich wspólnych (dzierżawionych od spółek łowieckich) przy dostosowaniu się do miejscowych warunków możliwem jest także celowe użytkowanie odpowiednich z pośród tych przyrządów.

Najbardziej przez drapieżniki zagrożoną jest użytkowa zwierzyna w okresie, w którym matka pod wieczór wyprowadza swe młode w świat dla wyrabiania w nich samodzielności. Wtedy jako nieporadne jeszcze najłatwiej stają się ofiarą drapieżników tem groźniejszych wówczas, że mordują w celach wyżywienia niesamodzielnego jeszcze swego potomstwa. Liche skórki letnie drapieżników, które w tej porze właśnie najintensywniej tępić należy, o ile nie podpadają pod wymienioną już wyżej ustawową ochronę z art. 49 prawa łow., nie odgrywają w rewirach polowania na drobną zwierzynę żadnej roli w stosunku do osiąganych stąd korzyści dla gospodarki łowieckiej.

Istnieją co do wielkości, formy i konstrukcji różne żelaza, potrzaski, pułapki i kosze z żelazem na chwytanie drapieżników czworonożnych i skrzydlatych. Zwykle przy sprzedaży dołączany bywa opis sposobu użycia. Trudno tu zapuszczać się w drobiazgowe szczegóły w praktycznem użytkowaniu przyrządów przy łowieniu poszczególnych gatunków drapieżników, a ktoby pragnął obeznać się dokładniej w tej mierze, musiałby postarać się o odpowiednie dziełko fachowe. Tu ze względu na odstrzał jak i łowienie niechaj posłużą niektóre wskazówki co do szkodników wśród drobnej zwierzyny — i tak:

O lisie i polowaniu na niego (wolno go tylko strzelać) była już mowa w numerach Łowca z dn. 16 XI. 1928 i 1 I. 1929.

Artykuł 37 ust. łow. pozwala, jak to już wspomnieliśmy, w odległości conajmniej 300 m od zabudowań gospodarskich i 30 m od drogi publicznej zabijać włóczące się w obwodzie łowieckim psy niemyśliwskie i koty, szkodliwe bardzo przez ciągłe niepokojenie oraz chwytanie i zagryzanie zwierzyny. Szczególnie cierpią na tem i padają ich ofiarą twardo przywarowujące sza-

raki oraz wysiadujące na gnieździe bażanty i kuropatwy. Tem wydatniej zatem tępić należy te szkodniki systematycznie przez straż łowiecką i przygodny odstrzał. Nadto przy tępieniu kotów posłużyćby się też można mniejszemi żelazkami, z zachowaniem potrzebnych ostrożności. Wprawdzie tępienie włóczących się po rewirach kundysów i kotów wywołuje niezadowolenie u ludności wiejskiej, atoli wzgląd na tendencję ustawy, dobro zwierzyny i łowiectwa, oraz interes samej gminy wzgl. jej spółki łowieckiej musi tę konieczność uspra-

O ochronie drobnej zwierzyny łownej 2

wiedliwić i powodować właścicieli takich szkodników do skutecznego ograniczenia ich swobody w niszczącem plądrowaniu obwodów łowieckich.

K u n a d o m o w a (kamionka — wolno ją strzelać i łowić), bardzo krwiożercza, jest nader szkodliwą zarówno dla gospodarstwa domowego, jak w polu i w lesie zwłaszcza na wiosnę dla gospodarstwa łowieckiego wśród drobnej zwierzyny. W przeciwieństwie do kuny leśnej (tumaka), którą się tylko strzela, wolno chwytać kamionkę także w żelazka, łapki i t. p. Jako przynęty w tym celu używa się jajka lub świeżo zabitego ptaka. Ponieważ kamionka przeważnie przebywa w pobliżu i pośród wiejskich zabudowań, przeto w ich obrębie na stwierdzonych, przy pomocy rozsianego drobnego piasku lub popiołu, przemykach można ją nocą najprędzej ułowić. W myśl art. 43 ust. łow. można polować wzgl. łowić w odległości conajmniej sto metrów od cudzych zabudowań mieszkalnych, zatem łowienie przez dzierżawcę polowania w odległości mniejszej mogłoby, w myśl art. 50 ust. łow., mieć miejsce tylko za zezwoleniem dotyczącego właściciela gruntu wzgl. zabudowań. Jeżeli pomienione przesmyki prowadzą ku otworom w ścianach kurników, królikarni i t. p., wtedy najkorzystniej jest ustawić żelazko przy otworze wewnątrz ubikacji, ażeby kuna zeskakując wprost na żelazo wpaść mogła. Także nastawić można żelazko na wiosnę na małych nęciskach (placówkach) w polu niedaleko wsi (jednak w odległości przynajmniej 300 m od zabudowań gospodarskich ze względu na włóczące się kundysy i koty), przyczem jeszcze posłużyć trzeba obwłoką (ob. art. o lisie w Łowcu Nr 1, r. 1929) ze świeżych patrochów króliczych. Na nęcisko dorzucić też można strzelane wróble. Zamiast żelaza posłużyć się możemy, jak już poprzednio zaznaczono, łapkę skrzynkową (bezpieczną dla otoczenia) ustawioną, bez przynęty w niej, w gąszczach, wysokich trawach, krzakach, remizach i t. p., rozumie się także przy użyciu obwłoki. W takich razach, jak wyżej wzmiankowano, wystrcza już odległość sto metrów od cudzych zabudowań mieszkalnych.

Odstrzał kamionki nocą przy świetle księżyca na zasiadce w myśl art. 47 ust. łow. nie jest dozwolony, zaś odstrzał za dnia zdarza się czasami przy rozmyślnem wypłoszeniu kuny ze znanej kryjówki. C. d. n.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 14 października 1929 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni: wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału Dr A. Małaczyński, Dr Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, H. Prek i Dr J. Rosienkiewicz, zastępcy M. Chrzanowski, St. Madeyski i A. Papara.

Nieobecność usprawiedliwili wiceprezes C. Czarkowski-Golejewski, inż. Adam Ebenberger, St. Jaśkiewicz i Dr W. Ziembicki.

Stwierdzono, że urgensy wydane przez Syndyka Towarzystwa odnoszą pożądany skutek, niezależnie zaś od tego, uchwalono zalegających od lat z wkładkami skreślić z listy członków, a nazwiska skreślonych ogłosić w „Łowcu" a to w tym celu, by delegaci i członkowie M. T. Ł. powziąć mogli stąd wiadomość o tem, że odnośni myśliwi nie należą już do Towarzystwa.

Postanowiono korzystając z oferty jednego z członków M. T. Ł. zakupić od niego dla bibljoteki Towarzystwa komplet „Łowca" od r. 1878 do 1928 r.

Przyjęto do wiadomości, że delegaci inż. Stanisław Goleń (powiat przemyślański) i Kazimierz Krzakowski (powiat skolski) złożyli mandaty wskutek przesiedlenia się z powiatów swej dotychczasowej działalności.

W poczet członków zostali przyjęci:

Irena Bartmańska w Tadaniu, powiat Kamionka strumiłowa, Dr Karol Czerwiński we Lwowie, Piotr Habig we Wiedniu, Karol Kuchar we Lwowie, Herman Mauttausch w Zadubrowcach p. Wołczkowce powiat śniatyński, Degenhard hr. Wurmbrand Stuppach Zamek Steyersberg poczta Warth w Austrji.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32